

JOANNA
PARASIEWICZ

DZIEWCZYNA Z JEZIORA

© Wydawnictwo WAM, 2026

© Joanna Parasiewicz, 2026

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculiewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Sylwia Kajdana, Magdalena Koch

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-4490-6

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

mando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 629 32 70

zamowienia@mando.pl

Druk i oprawa: POZKAŁ • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Galerie book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

Spis treści

Legenda o pannie z mokradeł	7
1. Kwiat paproci, Gierłowski Bór, czerwiec 1965	9
2. Melancholia Mutti, Prusy Wschodnie, okolice Kreis Rastenburg, 1943.	41
3. Wróżba, Prusy Wschodnie, okolice Rastenburga, 1943.	49
4. Wyprawa po skarby, Mazury, maj 1950.	54
5. <i>Wolfsschanze</i> , Prusy Wschodnie, okolice Rastenburga, 1943	62
6. Komendant Niedźwiedź, Mazury, czerwiec 1965.	68
7. Zgłoszenie zaginięcia, Mazury, czerwiec 1965	74
8. Stażystka, Mazury, czerwiec 1965	92
9. Tartak, Mazury, lipiec 1965	103
10. Pani Maria, Mazury, lipiec 1965 roku	109
11. Hans Hosinger, Prusy Wschodnie, okolice Rastenburga, 1944	124
12. Wycieczka nad jezioro, Mazury, lipiec 1965	131
13. Spektakularne znalezisko, Warszawa, lipiec 1965.	151
14. Dziewczynki, Mazury, lipiec 1965	161
15. Naoczny świadek, Mazury, lipiec 1965	183
16. Mała Eva, Prusy Wschodnie, okolice Rastenburga, 1944.	203
17. Przesłuchania, Mazury, sierpień 1965	210
18. Wspólne popołudnie, Prusy Wschodnie, okolice Rastenburga, 1944	224
19. Pamiątka miłego wieczoru, Gierłowski Bór, wrzesień 1965	231
20. Zdjęcie Michała, Gierłowski Bór, wrzesień 1965.	254

21. Poniemiecka rudera, Giżycko, wrzesień 1965.	275
22. Wieczór pełen wrażeń, Giżycko, wrzesień 1965	288
23. Ucieczka, Prusy Wschodnie, okolice Rastenburga, styczeń 1945	300
24. Konik z celuloideu, Prusy Wschodnie, okolice Rastenburga, styczeń 1945	321
25. Pokaz slajdów, Mazury, wrzesień 1965	333
26. Rozkaz feldmarszałka Keitla, Mazury, okolice Wilczego Szańca, styczeń 1946	344
27. Zguba, Mazury, wrzesień 1965	355
28. Wycieczka nad jezioro, Mazury, wrzesień 1965.	387
29. Pocztówka z Mazur, Mazury, październik 1965	404
30. Kuracja, Giżycko, październik 1965	420
31. <i>La Cumparsita</i> , Mazury, październik 1965	436
32. Chłopak w czapce z daszkiem, Mazury, listopad 1965	440
33. Urlop komendanta, Mazury, listopad 1965	449
34. Kim pan jest?, Mazury, listopad 1965.	461
35. Prezent urodzinowy, Mazury, grudzień 1965	472

Dla mojej najukochańszej Siostry, Basi.

Gadają ludzie starzy,
Że padnie trupem śmiałek,
Który się spojrzeć waży
W czarowny wzrok Rusałek.

Lucjan Rydel, *Rusałka*, 1901

Musisz wiedzieć, moja miłości, że w każdym żywiole istnieje rasa
istot, których forma niewiele różni się od twojej, lecz które bardzo
rzadko ukazują się śmiertelnikom...

Friedrich de la Motte Fouqué, *Undine*, 1811

Legenda o pannie z mokradeł

Dawno temu, gdy Pożarki zwały się jeszcze Pohiebels*, a o wsi Wyręby nikt nie słyszał, w gęstwinie mazurskich lasów mieszkała panna z mokradeł. Nie znano jej imienia albo też mało komu starczało odwagi, by powtórzyć je głośno, wołano więc na nią różnie, ale zawsze ściszym głosem, rozglądając się uważnie na boki i tylko między swoimi. Jeśli już wspominano pannę, to często z trwogą albo żegnając się odruchowo, przypominając sobie nawzajem, by po zmroku nie chodzić do lasu, jezioro zaś omijać z daleka. Widywano Pannę Wodną przy chacie tuż nad jego brzegiem, ale i spotykano w odludnych leśnych ostępach. Ludzie zaczęli więc oznaczać te miejsca, wiązali na gałęziach białe tasiemki, zostawiając je ku przestrodze, by się na pannę

* Pohiebels (niem.) – dawna nazwa wsi Pożarki położonej w województwie warmińsko-mazurskim.

bez potrzeby nie natknąć i nie zakłócać jej spokoju, nie chodzić ścieżkami, które nie są dla ludzi.

Na ganku krytej gontem chaty zostawiano a to kilka jabłek, a to kawałek niedzielnego placka czy sprawionej ryby, bywało, że i kluski ze skwarką ze świątecznego obiadu. Żywy czy nie, każdemu jeść trzeba, mawiano. Nam nie ubędzie, a niebodze lżej będzie, że ktoś o niej pamięta, toć nikt sobie takiego losu nie wybrał.

W niespokojne noce, gdy wiatr ciągnął od wody, słychać było jej płacz. Powiadano wówczas, że panna z mokradeł woła tego, kogo szuka. Mówiono też, że była piękna jak świt i smutna jak listopadowy wieczór, a ci, którzy ją ujrzeni, zaraz zapominali o świetle. Porzucali domy oraz bliskich, by iść za Panną Wodną bez słowa i bez powrotu. I tak trwało to bytowanie żywych i tych, co pomiędzy światami. Żyli obok siebie, starając się nie wchodzić sobie w drogę, każdy bowiem wiedział: że kto spojrzy w oczy panny z mokradeł, ten się w nich zatraci. A kto nie zasłoni uszu na czas, ten już z lasu nie wróci.

I dziś jeszcze, gdy mgła ścieli się nad jeziorem, a las szepce nie swoim głosem, lepiej zawrócić. Bo są takie historie, w których wciąż nie wiadomo, gdzie kończy się prawda...

ROZDZIAŁ I

Kwiat paproci

Gierłowski Bór, czerwiec 1965

Człowiek nie jest kuszony przez świat,
lecz przez to, co w nim nieuporządkowane.

Mistrz Eckhart, XIII w.

Osobowy „Mazury” włókł się, co rusz się zatrzymując, by zebrać siły na mijanych stacjach. Przystawał uparcie, jakby potrzebował zapewnienia, że i tym razem na pustym peronie nikt nie będzie czekał. Po każdym przystanku zbierał się w sobie i sapiąc z rozczarowania, nabierał tempa, by znów zwolnić. Wydminy, Stare Juchy, Siedliska... Podróż zdawała się ciągnąć bez końca, w środku panował ścisk i zaduch. Na korytarzu od samej Warszawy stali we trzech: Janek Pszczelarz i bliźniacy Sylwek i Paweł Piorunowie; wszyscy jednakowo spaleni czerwcowym słońcem, przed którym nie było jak się schować podczas zbierania truskawek u chłopa.

– Szybciej byłoby piechotą – burknął Sylwek i po raz setny szarpnął okienną klamkę. W składzie pociągu, w którym gnieździли się od Śródmieścia, brakowało powietrza, pot spływał

im po karku i plecach. Szyba ani drgnęła. – Trzeba było brać wcześniej, a nie pchać się w samo południe z tym ulem. – Obtarł mokre czoło, łypiąc spode łba na przekrzykujących się kolonistów. – Może dałoby radę tylek gdzieś posadzić.

– Aha, akurat ty byś na ten wcześniej zdażył, już cię widzę – mruknął drugi z Piorunów, nie odrywając wzroku od czytanej książki.

– O, albo trzeba było na stopa, jak jutro dziewczyny – nie dawał za wygraną Sylwek.

– Tyle że w odróżnieniu od dziewczyn ty byś na tego stopa do teraz czekał – zaśmiał się Janek. – Nie marudź, Piorun, goździnka z hakiem i dobijamy, potem wycieczka przez pola i łąki albo, jak się przyfarc, podwózka pekaesem i jesteśmy.

Sylwek sapnął posępnie.

– Panowie, zostało wam coś jeszcze w temacie wałówki?

– Zaczyna się – mruknął znów znad książki Paweł. – Jak z dzieckiem.

– Wyzerowane. – Janek zamknął klapę plecaka. – Ale w Giżycku czeka sprawdzona miejscówka, więc bądź grzeczny, Piorun, i nie marudź, to cię zabiorę do zacnego paśnika.

Wnętrze dworcowego Baru Pychotka przez przykrótkie firanki ozłacało słońce, a zapach ługu do podłóg mieszał się ze swojskimi oparami gotowanych kartofli i zupy. „Napoje procentowe wydaje się wraz z daniem garmazeryjnym”, tabliczka pod smętną paprotką nie zostawiała złudzeń.

– Uszanowanko pięknej pani. – Sylwek natarł na ladę i wbił wzrok w dziewczynę w fartuszk. – Zawstydzta pani urodą dzisiejsze słońce.

Pokraśniała z zadowolenia, jakby wymówił właściwe zaklęcie, a on szybko zapomniał o trudach podróży. Obiecujące pozycje „Dziś w menu” i dziewczyna o wesołych oczach skutecznie poprawiły mu humor.

– Co taka piękność mogłaby zaoferować strudzonemu podróż-
nym z dalekich stron?

– Z dalekich stron? – podjęła figlarnie, wygładzając fartu-
szek przecięty w talii kokardką. Włosy upięte w kok odbijały się
w kwadratowych lusterkach zdobiących ścianę za jej plecami.

– Owszem, wpadliśmy poznać panią aż z samej stolicy. – Puścił
oko, bo bajer ze stolicą działał na wszystkie zamiejscowe bez pudła.

– Och, aż ze stolicy... No więc co do oferty to zależy, na co
podróżnicy mieliby ochotę. – Uśmiechnęła się szeroko.

Drugi z bliźniaków ciężko westchnął i przewrócił oczami.

– Jak zejdiesz na ziemię, amancie, to weź dla mnie flaki
i kompot – mruknął Paweł.

– Panowie na wypoczynek nad jezioro?

– Ruszamy nurkować nad Tęskne – rzekł Sylwek z miną zwy-
cięskiego gladiatora.

– Aż nad Tęskne... – zaszczebotała.

– Kojarzy pani?

– Owszem, to kawałek stąd, jak się jedzie na Wilczy Szaniec,
słyszałam, że tam głęboko.

– Ma pani przed sobą wirtuoza głębin – zapewnił i uderzył się
w pierś, a Paweł pacnął się w czoło:

– Ja cię sunę, ten wariat przechodzi samego siebie.

– Oj, bo moje towarzystwo zaraz padnie z głodu. To może się
skuszę na specjalność zakładu? – Sylwek nachylił się w stronę

dziewczyny, opierając się o ladę zdobioną pióropuszcami serwetek w metalowych kielichach. – Tylko najpierw proszę zdradzić, jak ma na imię ozdoba tego lokalu?

– Greta. – Dziewczyna roztapiała się pod jego spojrzeniem. – Jak ta aktorka...

– Się wie, Greta to imię pięknych dziewczyn, tym bardziej mi miło, jestem Sylwester, jak patron wieczornej imprezy.

Zachichotała, gdy cmoknął szarmancko jej dłoń.

– Chryste, ten to w zalotach niezmordowany... – fuknął Paweł. – Gwiazdor jeden, będzie się godzinami wdzięczyć.

Obserwował jednak brata z niekłamanym podziwem, obaj z Pszczelarzem zgodnie przyznawali, że Sylwek wiedział, jak zaczarować każdą – od leciwej profesorki z liceum po ekspedientkę w dworcowym bufecie – i jak dotąd nie znalazła się kobieta całkiem odporna na jego urok.

Za plecami Sylwestra ustawiło się kilku klientów.

– Skoro udany początek mamy już za sobą, proszę zdradzić, pani Greto, co pani w menu wybiera najchętniej?

– Ja to najchętniej naleśniki z serem i szczawiową – wyrecytowała rozanielona. – A goście to często biorą u nas sztukę mięsa z chrzanem, chłodnik i krostki, ale to już wszystko w południe zdążyło wyjść.

– Ach, jakież pech, i cóż nam pozostało? – Skrzywił się z udawaną rozpaczą.

– No... tam, gdzie niezmaszana cena. – Pokazała palcem na rozpiskę, wyraźnie chcąc pomóc. – Te dania są jeszcze na stanie.

– W takim układzie – powiedział Sylwek, nie odrywając wzroku od dziewczyny za kontuarem – weźmiemy flaki z kompotem,

raz kaszę gryczaną z jajkami sadzonymi i talerz pomidorowej, i może ryż z jabłkami i śmietaną.

– Raz ten ryż czy dwa razy? – Zatrzepotała rękami.

– Raz...

– A dla mnie kotlet jajeczny i leniwe z cukrem – pospieszył z zamówieniem Janek, ale na niego panna Greta nawet nie spojrzała.

– Panowie zajmą miejsca. – Machnęła w stronę kwadratowych stolików opakowanych w plastik kraciastej ceraty.

– Ale pani, ma się rozumieć, tam do nas dołączy? – Sylwek nie odpuszczał.

– Nie, ja pana zawołam do siebie – powiedziała i zaraz spurpurowiała.

– Wybornie, ja się stawiam na wołanie i trzymam za słowo.

Usiadł pod szerokim oknem przy stoliku, gdzie dawno nie-przecierany obrus przywierał do łokci. Błat ozdobiła pusta solniczka z mrożonego szkła, w której na pamiątkę zostało kilka ziarenek ryżu, obok stał szczerbaty dzbanuszek z gałązką sztucznej niezapominajki.

– No – Sylwek rozsiadł się i wyciągnął nogi – jeszcze tylko browarek i życie jest piękne.

– Masz szczęście, że twoja Anka nie słyszy, jak bajerujesz bufetową z mlecznego. – Paweł spojrzał z ukosa na brata.

– Oj tam, od razu bajerujesz. – Sylwek wcisnął w zęby wykałaczkę. – Człowiek stara się być uprzejmy, a ty się z miejsca czegoś doszukujesz, braciak. Zresztą czego dziewczynie żałujesz? Zobacz, jaka zadowolona fruwa za tą ladą, trzeba być życzliwym dla ludzi i od razu świat robi się miłszy, spróbuj kiedyś.

Niedługo potem odstawili puste talerze w okienku z tabliczką „Zwrot”, a Sylwek znów się wyszczerzył do dziewczyny za ladą.

– Przyszedłem się pożegnać, bo pewnie długo się nie zobaczymy. A jeśli znajdzie pani chwilę, serdecznie zapraszam, będzie bardzo miło znów się spotkać.

Zarumieniała się.



Nad jezioro dotarli pod wieczór, choć Janek wciąż gryzł się w język i wspinał na wyżyny cierpliwości, by nie popędzać chłopaków. Nie mógł się doczekać jutrzejszego dnia i szkoda mu było każdej chwili w mieście. Już bardzo chciał nad jezioro, ale musieli nabić mieszanką butle, potem bliźniacy się uparli, by odwiedzić Niegocin, bo był o rzut beretem. Nad Niegocinem spotkali jedną ze szkolnych miłości Sylwka, jeszcze z pierwszego roku, która pokazała im budkę z „najlepszymi lodami jagodowymi” (daj spokój, Pszczelarz, w końcu wakacje), więc trzeba było odczekać swoje w tasiemcowej kolejce. Po drodze musieli uzupełnić zapasy, wstąpili po pieczywo, pomidory i jajka na śniadanie, a gdy wreszcie dotarli na przystanek, minęli się z pekaesem. Popołudniowy w stronę Kętrzyna odjechał tuż przed nimi.

Gdy więc szczęśliwie dobili na miejsce biwakowania, Janek westchnął z ulgą, a reszta z wrażenia, bo widok, który na nich czekał, wart był wszystkich trudów mijającego dnia. Wyszli z lasu i zatrzymali się na pagórku, którego łagodny stok kończył się piaszczystym brzegiem. Jezioro u ich stóp leżało odgrodzone od świata zwartą pierzeją lasu. Patrzyli jak urzeczeni.

Gładka niczym stół tafla tonęła w płynnym złocie zachodzącego słońca, odbijając ognisty oranż tysiącem roziskrzonych lusterek. Wokół unosiły się cienkie druciki ważek, którym z dołu przyglądały się dryfujące leniwie perkozy o zawadających czubach. W bezwietrznej ciszy upał gasnącego dnia ustępował rześkości wieczoru, kuśił chłód wody nieprzeciętej nawet zmarszczką. Zanim ruszyli przed siebie, chwilę trwali zapatrzeni w bajeczną scenerię. Wreszcie z ulgą zdjęli plecaki, rzucili na ziemię torbę ze skafandrami, butlami i sprzętem, z którą męczyli się cały dzień.

– Wygląda, jakby na nas czekało. – Paweł podniósł płaski kamyk i cisnął w stronę wody. Odbił się kilka razy, mącąc gładką powierzchnię. – O, i proszę, modelowa kaczka! – Na dobre wrócił mu humor.

Zsunęli tenisówki, nagrany miękki piasek przyjemnie koił zmęczone stopy.

– Taki raj i ani żywej duszy, cudo! – Już za moment Sylwek paradował w samych slipkach. – Panowie, proponuję sprawdzić warunki! Pierwsze prawo Pioruna: najpierw przyjemności, potem wszystko inne. – Sylwek rozpędził się i wskoczył do jeziora, chlapiąc na chłopaków. – Ruszać się, panienki! Nie spać mi tam, kto ostatni, ten zmywa po kolacji!

Paweł i Janek zerwali z siebie przepocone koszulki oraz spodnie i wskoczyli za nim, rozbryzgując wodę.

– Zimna!

– Nie bądź beksa, Pszczelarz, trzeba ci było zostać w rajtach! – Sylwek chlapiął wodą w jego stronę.

– Cudo! Woda marzenie! – zachwycił się Paweł.

Bliźniaki wygłupiali się, podcinając się nawzajem, Janek zaczerpnął haust powietrza i zanurzył się, by sunąć tuż przy mu-
listym dnie.

Co w sobie ukrywa ta mętna otchłań? Co pokaże? Co przed
nami odkryje? Jego dłoń zaczepiała o rozrośnięte kłacza grążeli.

Janek wynurzył się i ruszył sprintem przed siebie, nie zważał
na nawoływania braci. Ciął szybko i pewnie, by się zmęczyć,
nacieszyć, choć trochę nasycić. Woda, pływanie to był jego świat.
Pod powierzchnią czekały na niego cisza i spokój. Otworzył oczy,
promienie gasnącego słońca oświetlały złotozieloną toń, która
zdawała się ciągnąć bez końca.

Przypomniawszy sobie słowa profesora: „Pan, panie Janie, jest
głodnym wiedzy ambitnym naukowcem, a do tego czynnym
sportowcem, ba, pletwonurkiem, i właśnie dlatego pomyślałem
od razu o panu”.

Jutro, już jutro, wrzucą coś szybko na ruszt i nim dołączą
dziewczyny, zejść pod wodę. Pójdą we trzech z butlami, rozej-
rzą się. Dostali niecałe dwa tygodnie na wstępny rekonesans,
na pierwszą przymiarę, by poznać dno od północnej strony,
gdzie było najszerzej i gdzie mieli zapoczątkować badania, na
które pozwolenie od lokalnych władz wydreptał jego promotor.
On, Janek Pszczelarz, miał zebrać materiał, wy badać, ile się da,
przez najbliższe dni, no i miał się upewnić, czy jest sens starać się
o zgodę od wojewody, by przysłał na miejsce ekipę ze sprzętem.

Pamiętna rozmowa z profesorem była jak bonus od losu.

– W tych okolicach na długo przed wojną natrafiano na po-
zostałości po kulturze kurhanów. Znajdowano liczne naczynia
i biżuterię z motywem słońca czy wilka, podczas wojny zaś, jak

to podczas wojny, wiadomo, ludzie mieli na głowie ważniejsze rzeczy. A teraz, skoro już mamy szczęśliwie Polskę Ludową, zajmimy się tym my. – Profesor Zdzisław Baryła starannie złożył mapę. – Te ziemie kryją sporo niespodzianek, panie Janie. Całe osady, gdzie w przedchrześcijańskim świecie żyli i polowali Bałtowie. A że należałoby się tym uczciwie zająć i, jak rozumiem, mam pana po swojej stronie, przydałoby się jakieś spektakularne znalezisko, aby przekonać uczelnię do pomocy.

– Spektakularne? – Janek poczuł mrowienie w żołądku.

– Owszem, im bardziej efektowne, tym lepiej, inaczej nie otrzymamy ani funduszy, ani potrzebnych zgód. Tamtejsze lasy i łąki zostawimy na późniejszy czas, bo jakoś te eksploracje trzeba podzielić, natomiast pierwszy etap rozpoczniemy od akwenu, dlatego powierzam panu tę misję. Wykorzysta pan swoje kompetencje i przy okazji zbierze materiał na doktorat. Byłby pan zainteresowany, panie Janie?

– Brzmi dobrze. – Janek starał się nie rzucić Baryle na szyję.

– W rzeczy samej, a pomyślałem właśnie o panu, panie Janie, ponieważ jest pan ambitny, a do tego duch sportowy. – Po tych słowach podsunął w jego stronę mapę. – Coś mi mówi, że ten sezam może być ciekawym tematem do pańskiej pracy. Tylko dodam, proszę ja ciebie, że będzie to misja, ujmijmy to tak, specjalna. Proszę w miarę możliwości działać dyskretnie i z niczym się nie afiszować, ot, taki studencki biwak nad wodą, relaks i wypoczynek.

– Relaks i wypoczynek, da się zrobić! – Janek był podekscytowany tym, co go czekało. Mocno ucisnął dłoń promotora. – Dziękuję za zaufanie, panie profesorze.

– Kto jak nie pan, panie Pszczelarz. Proszę mnie pilnie informować o każdej ciekawej rzeczy, na którą pan tam trafi.

Namioty rozbili na pagórku, tuż za gęstym parawanem rozrośniętej kaliny, na skraju lasu zebrali chrust.

– Całe wieki nie jadłem kielbaski z ogniska. – Paweł Piorun aż pogwizdywał z zadowolenia. – I do tego ziemniaczek z opiekany chlebkiem, pięććkna sprawa.

– Dzisiaj jest wieczór spełniania marzeń – wyszczerzył się Sylwek i zanurkował do namiotu. – Myślałeś pewnie, Pszczelarz, że zapomnimy, ale my nie z tych! Pioruny to porządna firma, więc my tu o..., z drobiazgiem dla ciebie!

Zamachał butelką, a Jankowi rzredła mina. Pryśła beztroska wspólnego wieczoru, radosne oczekiwanie na jutrzejszą wyprawę, Janek znów stał się smutnym i bezradnym chłopcem pragnącym zniknąć, stać się niewidzialnym. Wraz z flaszką zszarzał blask ogniska, Janek poczuł znajomy skurcz żołądka, bo ciało pamiętało schematy, wróciły znajome obrazki, wyraźne, jakby z wczoraj.

Wujek Rysio i ciocia Bieta podtrzymujący siebie nawzajem.

Wujek Rysio i ciocia Bieta bełkoczący kolędy nad karpem, który zachował życie w tamte święta, bo nie dało się ustać w pionie nad wanną, a co dopiero „tę cholere” złapać.

Wujek Rysio szarpiący staruszką z góry, „bo ile można słuchać dzikich ryków i czy wam przed dzieciakiem nie wstyd?”.

Janek zbierający ciocię Bietę chrapiącą w podomce i jednym kapciu w zaspie śniegu pod klatką kamienicy na Wiślanej.

Janek umykający przed ciężkim wzrokiem sąsiadów, krążący opłótkami do szkoły.

Janek wstrzymujący oddech na dźwięk ciężkich kroków na drewnianych stopniach kamienicy. O tym, że któreś z wujostwa wracało na gazie, wiedział od razu, bo najpierw drzwi wejściowe otwierały się z hukiem, a potem następowała próba włączenia światła, szukanie włącznika na korytarzu.

W Otwocku przy Wiślanej osiem rządziły pospołu siwucha i demony przeszłości. Na widok butelki wujek Rysio, przed którym mechanizmy zegarów nie miały tajemnic, i ciocia Bieta, czarująca konfitury z wszystkiego, najpierw nie pamiętali jego imienia. Naraz stawał się „synkiem”. Zaraz też zapominali, jak się poruszać na własnych nogach, jak trafić do drzwi, za to zawsze mieli w pamięci, że każda okazja do napicia się jest dobra.

– No to najlepszości z okazji imienin, Pszczelarz!

– Panowie – studził bliźniaków – będziemy świętować jutro, jak dołączą dziewczyny.

– Gdzie jutro, jakie jutro? – Sylwek nie dawał się zbyć. – Jutro to mogą być poprawiny, a twoje imieniny są raz w roku i tak się składa, że dziś mamy Jana!

– Mamy z rańca ruszać w pełnej zbroi, kiepsko będzie tak na bani...

– Ale co ty, Pszczelarz, pękasz? Nie bój nic, będzie kulturka, wypijemy tylko za twoje zdrowie.

– I za wypad! – dodał Paweł.

Sylwek rozlał wódkę do turystycznych kubków, Janek pokręcił głową.

– Stary, mnie na dziś wystarczy wrażeń.

Sylwek się skrzywił, ale machnął ręką.

– No dobra, niech ci będzie, nudziarzu, więcej dla nas. Twoje zdrowie!

Podzielili jego porcję między siebie.

– Nie zaśnijcie tu beze mnie, panienki. – Sylwek dźwignął się z miejsca. – Braciak, przekręć no patyk, bo mi się kielba zwęgla. Zaraz wracam, idę ochrzcić nasze jezioro.

– Połącz się z morzem! – zachichotał Paweł.

Janek też się podniósł.

– Poszukam latarki i czegoś na komary.

Rozsunął namiot, był trochę zły na chłopaków. Zły i rozgoryczony, co starał się ukryć, bo jakoś nie chciał im zepsuć pierwszego wieczoru. Powinien odpuścić, tłumaczył sobie, że przecież są wakacje, wspólny wypad, taki oczekiwany, skąd mogli wiedzieć, że akurat jego wódka paliła smakiem wstydu?

Może i bliźniakom by się przyznał, jak to u niego wyglądało. Może i zebrałby się na odwagę i opowiedział więcej. Wujek Rysio i ciocia Bieta przygarnęli go po tym, jak w powstaniu stracili syna, a o jedynaku tylko gorzała pozwalała im zapomnieć. Wódka pozwalała nie pamiętać o Filipku, jak powiedziała Jankowi sąsiadka, gdy nie mógł wejść do zatrzaśniętego od wewnątrz mieszkania i ostatecznie nocował u niej w stołowym nałączonych fotelach. Wujek Rysio i ciocia Bieta wzięli Janka do siebie, bo może było im łatwiej, gdy trzecie miejsce przy stole już nie stało puste, a może dlatego, że przez pewien czas wierzyli, że da się ich trójkę pozlepić w nową całość, zbudować na zgłiszczach rodzinę, skoro każdemu z nich kogoś brakowało.

To poskładanie na nowo jednak nie wyszło, nic się nie sca-
liło, i gdy się dostał na studia, to ani wujek Rysio, ani ciocia
Bieta nie ukrywali, że się cieszą z jego wyjazdu. Dla wszyst-
kich lepiej.

Zbierał się w sobie kilka razy, chciał Piorunom o tym
Otwocku opowiedzieć, tylko nie było okazji, by psuć na-
strój, a może też i zabrakło mu odwagi? Poznali się jeszcze
w klubie nurkowym na Legii, gdy już mieszkał w Warsza-
wie, w bursie, i tej bursy Pioruny zgodnie mu zazdrościły,
choć przecież na wszystko musiał zarobić sam. Dawał korki
z matmy i fizyki, wieczorami sprzątał zakład masarski. La-
tem jako ratownik pracował nad Wisłą albo jeszcze w Ot-
wocku nad Świdrem, gdzie uczył ludzi pływać, zawsze coś się
znalazło.

– Ale, ale – Sylwek ponownie rozłożył się przed ogniskiem –
skoro dziś jest Jana, to i noc świętojańska.

– Trzeba się rozejrzeć za kwiatem paproci! – rzucił Paweł.

– To kończ waść kiełbę i ruszamy. – Sylwek dopił resztkę
z emaliowego kubka.

– Co?

– Serio mówię.

– Gdzie ruszamy, nawet kartofli jeszcze nie tknęliśmy...

– A co to jest, braciak, wieczerza wigilijna? Musisz spróbować
dwunastu potraw? Zjemy, jak wrócimy. Chwilę się pokręcimy
i rozejrzemy, nie ma jeszcze dziewiątej.

Paweł patrzył na brata z wahaniem.

– Gdzie będę łąził, jak mi się we łbie kręci.

– To tym bardziej spacer dobrze ci na sen zrobi.

- Idziesz z nami, Pszczelarz?
- Nie, tym razem bawcie się beze mnie.
- Dobra, niech ci będzie. Dziś twój dzień, więc masz fory, i naciesz się, bo jutro koniec świąt. Zjawi się ta twoja Ula, to ci się wczasy skończą.
- Ula to tylko koleżanka – cmoknął.
- No jasne, koleżanka! – prychnęli obaj jednocześnie, a Sylwek rzucił w niego szyszką. – Ja zaś jestem wielbłądem dwunożnym. Dobra, Pszczelarz, pilnuj budy i nie otwieraj obcym, a jak nie zaśniesz, to wrzuc do żaru tak z dziesięć kartofli.

I już ich nie było.

Janek wyjął z namiotu śpiwór, rozłożył obok ogniska, wyciągnął się i westchnął z lubością, patrząc w rozgwieżdżone niebo.

– Bosko – mruknął z zadowoleniem.

Gdzieś nad głową śpiewał słowik, pohukiwała sowa, nawoływała kukułka.

Nad ranem zbudziło go zimno, niebo było szarawe, a gwiazdy zmyła jasność świtu. Ognisko dawno zgasło, przeniósł się do namiotu.



Dziwnie było się szwendać tak po ciemku, nieswojo. Pomysł z szukaniem kwiatu paproci, może i w dechę przy kiełbaskach i ognisku, tu, w ciemnej gęstwinie, gdzie trudno było bez latarki dostrzec czubek własnego nosa, okazał się chybiony. Z początku nawet dowcipkowali, jak się podzielią tym bogactwem, co to go wraz z kwiatem znajdą. Śmiali się też z Pszczelarza, że turysta

emeryt, że całkiem skapcaniał i w następne wakacje pewnie nie wstanie z leżaka. W miarę jak zapuszczali się w głąb, potykając się o korzenie, zaczepiając rękawami o gałęzie, aby w końcu wpaść wprost w płataninę jeżyn, humor ich całkiem opuścił. Sylwek jakoś zmarkotniał, Paweł miał dość. Cieszył się, że przed wejściem do tego cholernego lasu przez przypadek zauważył niebieski szlak na jednym z drzew, poniżej jakieś przyczepione tasiemki. Starał się pilnować znaków, ale nie wiadomo było, czy lepiej świecić sobie pod nogi, czy oświetlać to, co dookoła. W niclej poświęcić gałęzie wyginały się złowieszczo, a alkohol, który najpierw dodawał animuszu, teraz podkręcał wyobraźnię. Było kompletnie cicho, jakby las wstrzymał oddech, a Paweł czuł, jak jego spocone plecy przemierza stado mrówek. Aż podskoczył, gdy pod stopą trzasnął suchy patyk i po raz setny pomyślał, jak bardzo był głupi, że nie został z Jankiem. Z każdą chwilą bardziej mu zazdrościł, że mógł sobie spokojnie grzać tyłek w śpiworze, a nie szwendać się w tej ciemnicy z narwanym bratem. Westchnął raz, potem drugi.

- Mnie starczy na dziś.
- Chodź, Paweł, i nie marudź, zaraz znajdziemy te bunkry.
- Świetnie, to może innym razem. Serio, ja pasuję – zatrzymał się. Znał brata jak własną kieszeń, wystarczyła byle szczelina i Sylwek od razu wyważał drzwi.
- No dobra, jak sobie chcesz, panienko, ja się jeszcze pokręcę. Zza chmur pokazał się księżyc i zrobiło się jaśniej, raźniej.
- O, widzisz, nawet aura nam sprzyja.
- Stary! – Paweł kolejny raz potknął się o wystający korzeń i zaklął siarczyście. Nie chciał się rozdzielać, nie miał pojęcia,

jak daleko byli od namiotów, ale miał już serdecznie dosyć wieczornej przechadzki. – Chodź, zawijamy się, wpadniemy za dnia.

– Nie, sam sobie wracaj, jak chcesz, ja się napaliłem na te bunkry, w nocy może być tam mistrzowsko. Wiesz, jak stąd trafić?

– Raczej nie...

Sylwek westchnął głośno, ale się zatrzymał.

– Podprowadzę cię, dalej będziesz miał prosto.

Wracali w milczeniu.

– Dobra, to stąd idziesz, nigdzie nie zbaczasz i zaraz powinienś być na miejscu.

– Podejźmy jeszcze kawałek.

– Braciak, co ty taki cykor jesteś, Baby-Jagi się boisz?

Szli przed siebie w milczeniu. Wreszcie, gdy błysnęła srebrna tafla jeziora, Paweł odetchnął z ulgą.

– Dobra, już sobie poradzę.

– Tylko zostaw mi kilka kartofli.

Sylwek odwrócił się na pięcie i zniknął.

Przyspieszył kroku, nawet starał się pogwizdywać. On im jeszcze pokaże i jutro opowie dziewczynom, jak to jest jechać z amatorami; jeden już chrapał w namiocie, a drugi mało na spacerze w portki nie narobił ze strachu. Minął jakieś mokradła, co poznał po wilgotnym zapachu ziemi i innych zaroślach, dobrze, że się tam nie wpakował. Jeszcze tego by brakowało do kompletu wrażeń. No i gdzie te bunkry? Rozglądał się uważnie, słabe światło latarki ślizgało się po pniach, ale bunkrów było, niebieskiego szlaku, o którym wspominał Paweł, też nie mógł znaleźć. Ruszył przed siebie, ale już mniej rażnym krokiem. Trafił na rozwidlenie ścieżki – i gdzie dalej? Wybrał tę z prawej,

po czym zmienił zdanie, przecież kierowała na zachód, a te bunkry, przynajmniej według mapy, którą studiował przed wyjazdem, powinny być bardziej na południe, czyli tam, gdzie wyższe drzewa. No i na mapie nie było żadnych bagien w ich okolicy... Zawrócił, ale rozwidlenia ścieżek jakoś nie było, może jeszcze kawałek? Ale przecież aż tak daleko nie mógł się zapędzić... Cholera jasna, trzeba było wracać z Pawłem. Potknął się o zielsko i przewrócił jak długi. Leżał w jakiejś dziurze, rozcierał bolącą kostkę.

– Cholera by to wzięła – zaklął, a własny głos w głuszy zabrzmiał mu obco. Zerknął na zegarek, dochodziła północ. Nie możliwe, aż tyle czasu ganiał po tym lesie?

Starał się wstać, ale kostka paliła żywym ogniem. Trudno, myślał gorączkowo, jakoś tu przebiję do świtu, w końcu to nie dżungla amazońska, przynajmniej nic mnie nie zeżre, a jak tylko zrobi się jasno, dokuśtykam do namiotu.

Zamarł, kiedy usłyszał szelest. Starał się nie oddychać. Nie, nie zdawało mu się, coś wyraźnie zbliżało się w jego stronę. Może Paweł z Jankiem wybrali się jednak za nim? Nie, to niemożliwe, więc co? Łoś, dzik, może kłusownik? Skulił się w sobie, poczuł, jak włosy na głowie stają mu dęba, a krew tężeje w żyłach.

– Pan się zgubił?

Podsłuchał, gdy usłyszał głos za swoimi plecami. Ale jak to możliwe, przecież mógłby przysiąc, że szelest słyszał z drugiej strony, wyraźnie przed sobą...

Aż mu szczęka opadła. Stała na wzniesieniu w świetle księżyca w długiej jasnej sukience i się do niego uśmiechała. Poczuł taką ulgę, że miał ochotę tę dziewczynę wyściskać.

- Eeee... na to wygląda... Zapędziłem się za kwiatem paproci. Zaśmiała się cicho, tak lekko, przyjaźnie.
- A teraz, rozumiem, chwila odpoczynku?
- A teraz to chyba skręciłem kostkę.
- Niedobrze, mogę zerknąć?
- Proszę. – Była przy nim, zanim skończył mówić.

Spróbował włączyć latarkę, ale naraz przestała działać. Przesuwał suwakiem w górę i w dół, baterie chyba się całkiem wyczerpały. Chciał coś powiedzieć, ale rzekła z uśmiechem:

- Nie trzeba.

Uklękła przy nim i drobną chłodną dłonią dotknęła bolącego miejsca. W świetle księżyca widział, że jest piękna, miała jasne złociste oczy i długie perłowe włosy, które opadły wprost na ziemię, tuż obok jej kolan.

– Zdaje się, że mam coś przy sobie, co przyniesie panu ulgę.

Sięgnęła do lnianej torby, którą zsunęła z ramienia, i odkręciła mały słoiczek.

– Tu, w okolicy, jest sporo takich niespodzianek, to leje po bombach, pamiątki po wojnie.

Sylwester patrzył na nią i milczał. On, który nigdy nie tracił rezonu, umiał zagadać każdą, naraz nie wiedział, co powiedzieć, i nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

Dotykała pulsującej kostki chłodnymi palcami, a on nie potrafił od niej oderwać oczu. Odchrząknął.

- Przepraszam, ale co pani robi sama o tej porze w lesie?

Zatopiła w nim złociste oczy i już wiedział, że nie widział piękniejszych.

- Zbieram zioła.
- Tak po nocy?
- Tak, bo są takie, które trzeba zrywać właśnie przy pełni.
- Przy pełni?
- Owszem, mają wówczas największą moc. A pan?
- Co ja?

Znów się uśmiechnęła, a on zapragnął, aby nigdy nie przedstawiała się do niego tak uśmiechać.

- Co pan tu robi?
- Przyjmijmy, że to taka nieudana wycieczka. A w ogóle to jestem Sylwek, Sylwester Piorun.

- Sylwester?
- Tak, fantazja rodziców na pamiątkę upojnej nocy.

Zerknęła na niego zaciekawiona.

Zrugał się w duchu, Boże, co ja przy niej plotę?

– Gotowe. – Wsunęła z powrotem słoiczek do torby. – Z nogą powinno być już lepiej.

– Jest lepiej. – Poruszał stopą w lewo i prawo. – Wcale nie boli... niesamowite...

- To dobrze. Może pan wstać?
- Bez problemu. – Podniósł się lekko.

Sięgała mu do ramienia, drobna, szczupła, ze złocistymi oczami niemal na pół twarzy, od których nie chciał oderwać wzroku. Krągłe piersi rysowały się pod cienkim materiałem sukni, która zwęzała się w jej wąskiej talii... Chryste, jak ten anioł znalazł go w tej głuszy?

Odgarnęła włosy.

- Pomogę panu się stąd wydostać.

– Nie, nie, dam radę, naprawdę nic mnie już nie boli. – Dwoma susami pokonał dół. – Pierwszy raz w życiu się zgubiłem.

– Dlatego właśnie chciałam panu wskazać drogę.

Czuł się przy niej jak mały chłopczyk i... całkiem mu się to podobało.

– Zapędziłem się w lesie, bo byłem pewien, że trafię bez pudła...

– Do bunkrów?

– Tak, wspominałem o tym?

– Domyśliłam się. O tej porze, jeśli ktoś tutaj nie zbiera grzybów, zwykle szuka właśnie bunkrów. Ale szedł pan w przeciwnym kierunku.

– Pani za to musi świetnie orientować się w tej okolicy, prawda?

– Tak... Proszę teraz iść za mną.

Szedł posłusznie za fosforyzującą w mroku sukienką. Ona musiała znać tu każdą piędź ziemi, bo kroczyła pewnie i ani przez chwilę się nie zawahała, ani razu o nic nie potknęła, nie zaczęła, szła, jakby chodziła po własnym domu...

– Wychowywała się tu pani?

– Tak. O, tu jest rozwidlenie, które pan minął.

– Skąd...

– Musiał pan je widzieć wcześniej, inaczej gdyby skręcił pan w lewo, trafiłby pan raczej tam, gdzie zamierzał. Dalej ma pan ochotę zwiedzać bunkry?

– Nie, tak, nie...

Nie chciał się z nią rozstawać, obejrzała się przez ramię.

– Myślę, że po takich wrażeniach dobrze będzie jednak wypocząć...

Niechętnie przyznał jej w duchu rację.

- Rozbiliśmy się nad Tęsknym.
Skinęła głową.
- Piękne miejsce.
- Tak, prowadzimy tam badania podwodne. – Poczuł się naraz dumny. Teraz on mógł wreszcie czymś zaimponować dziewczynie, która prowadząc go przez środek lasu, poruszała się w ciemnościach zwinnie niczym kot.
- Bardzo ciekawe.
- Owszem. Nurkujemy razem z bratem i naszym przyjacielem, no i jak się okazało, że ten nasz przyjaciel ma badać tutejsze dno jako pierwszy z ramienia zakładu archeologii uczelni, przyjechaliśmy razem z nim.
- Ciekawe, i co planujecie znaleźć?
- Jak to co? Skarby – zachichotał. – Różne opowieści krążą przecież o tym miejscu.
- Naprawdę? – Aż przystanęła z wrażenia. – Jakie opowieści?
- Na przykład takie, że Szwaby, zwiewając przed Ruskimi, potopiły w tym jeziorze całe wagony ze złotem.
- Całe wagony w jednym jeziorze?
- Tak przynajmniej mówią, ale ja tam nie wiem, o szczegóły trzeba byłoby pewnie Janka pytać. On ma wszystkie dokumenty i strasznie się tym ekscytuje.
- Doszli na skraj lasu, w oddali w zimnej stali jeziora odbijał się księżyc.
- Tu pana zostawię.
- A czy możemy się jeszcze raz spotkać?
- A chciałby pan?
- Bardzo – wymknęło mu się szybciej, niż chciał.

Uśmiechnęła się.

– Skoro tak... umówmy się jutro o tej samej porze na rozwidleniu dróg, trafi pan?

– Jasne, będę na pewno.

I nim się obejrzał, dziewczyny o perłowych włosach już nie było. Przez chwilę myślał, że wszystko mu się zdawało, ale nie, dotknął palcami kostki, skóra nad skarpetką lepiła się od ziołowej mazi.

Chrapiącego w najlepsze Pawła przekręcił na brzuch, a potem, już w śpiworze, przewracał się z boku na bok. Sen uparcie nie nadchodził, a on nie mógł przestać myśleć o dziewczynie z lasu.

Stary jesteś, Piorun, a głupi. Lasek znasz na pęczki, a przez tę jedną musiało ci rozum odjąć, śmiał się z siebie, ale za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział wpatrzone w siebie złote źrenice, czuł kojący chłód jej dłoni na pulsującej skórze. Chciał jej dotykać, patrzeć, jak się śmieje, zatopić twarz w jasnych włosach, znaleźć się znów obok niej. Nigdy wcześniej tak się nie czuł przy żadnej dziewczynie i pierwszy raz nie mógł zasnąć z powodu kobiety. Dziewczyna z lasu wydawała się nierealna, trochę jak ze snu, kompletnie inna niż choćby Anka. O Boże, Anka, jęknął w duchu, jeszcze jej tu potrzeba do kompletu...

Zasnął, gdy zrobiło się całkiem jasno, w półśnie słyszał, jak Pszczelarz rozsuwa namiot, pewnie poszedł za potrzebą. A ona? Co teraz robiła? Gdzie była dziewczyna o perłowych włosach?

Przed południem zeszli pod wodę dwa razy, jak zaplanowali. Przeczesywali teren przez blisko półtorej godziny, metr po metrze.

– Panowie, mam coś! Mam! – krzyczał rozentuzjasmowany Janek, gdy człapali w płetwach w stronę brzegu. W skafandrze i z przekrzywioną maską niemal podskakiwał.

– Masz coś? – zainteresował się Paweł. – Bo my tylko stare spławiki.

– Leży jakieś dziesięć metrów od brzegu na północny wschód...

– Co?

– Czółno!

– Co takiego?

– Tam leży zatopione drewniane czółno.

– Eeee tam, też mi skarb, i co w tym ciekawego?

– Wygląda na rasową dłubankę sprzed setek lat!

– Zostaw go, to archeolog. – Sylwek machnął ręką. – Im coś starsze, tym większa radocha.

Spojrzeni po sobie z zaskoczeniem, bo Sylwek odezwał się po raz drugi tego dnia. Od rana był nieswój, milczący, jak nie on...

– Raaany, jakby to była dawna dłubanka, to będzie hit. – Janek nie zrażał się brakiem entuzjazmu towarzyszy. – Muszę ją dokładnie rozrysować dla Baryły, no i określić położenie. Może to dopiero dobry początek? Jutro odbijemy bardziej na zachód, ale tam nie będzie łatwo i nie wiem, czy cokolwiek zobaczymy, całą przybrzeżną strefę porastają kłęczą...

– Cholera, posiałem swój kompas. – Sylwek przerzucał nerwowo skafandry i maski.

– Nie żartuj – zmartwił się Paweł. – Był nowszy niż mój. Oho, panowie, zdaje się, że mamy gości, pora przywitać piękne panie! Jest wreszcie moja Marzenka!

Dziewczyny zamachały radośnie już z daleka, a oni pode-
rwali się, by je przywitać. Tylko Sylwek westchnął ciężko, bo
najchętniej, zamiast gadać z Anką, wślizgnąłby się z powrotem
do śpiwora i tak przeleżał do nocy. Jeszcze cały dzień czekania...
Żłociste oczy widział we śnie i pod wodą, jakby go opętały... Sam
siebie nie poznawał.

Pierwsza podbiegła Ula, ucałowała Janka w policzek i wrę-
czyła mu bukietik polnych kwiatków. Odebrał od niej plecak
i zarzucił sobie na ramię. Śmieszna była ta Ula, wesoła, taki
prawdziwy kumpel; znali się jeszcze z liceum, chodzili do jednej
klasy. Potem jakoś tak się stało, że nie zaprosił jej na studniówkę,
o co strasznie się obraziła, bo podobno obiecał, że pójdą razem.
On tej studniówki nawet nie miał w planach, nie było kasy na
ekstrawagancje, ale skoro tak jej na tym bardzo zależało, mogła
mu przecież powiedzieć. A tymczasem Ulka z dnia na dzień
przestała z nim rozmawiać i tak się boczyła aż do matury. Ga-
dał nawet o tym z bliźniakami, a wtedy Sylwek stwierdził, że
Pszczelarz tak się zna na dziewczynach jak on na balecie. Dopiero
w wakacje Ulce przeszło. Nie miała zresztą wyboru, bo Janek
prowadził lekcje pływania w ramach akcji „Lato w mieście”, a Ula
przez cały lipiec przyprowadzała swojego brata Staszka na basen.
Staszek był chudy, obsypany piegami jak jego siostra i tak samo
rudy, jak marchewka. Nie mogli na pływalni udawać, że się nie
znają, więc od słowa do słowa wtedy się pogodzili i nigdy już nie
wracali do tematu feralnej studniówki. Może rzeczywiście coś

wtedy palnął, może ona źle zrozumiała? Stare dzieje, teraz zaś niósł jej plecak i nawijał o dłubance z dna, a Ula wydawała się równie przejęta znaleziskiem jak on.

Paweł z Marzenką złączeni w czułym objęciu dreptali z tyłu, tylko Sylwek jakoś nie mógł wykrzesać z siebie większego entuzjazmu.

– Stęskniłeś się? – Anka przechyliła filuternie głowę i zarzuciła mu ręce na szyję. – Bo ja to owszem...

– Od wczoraj nie mogła się doczekać – dorzuciła Marzenka. – Jak długo się, gołąbeczki, nie widzieliście?

– Za długo – odparła Anka, zaglądając Sylwkowi w oczy. – Prawda, Sylwus? O wiele za długo...

– Całe barki mam spalone. – Uśmiechnął się przepraszająco, oswobadzając się z jej objęć. – Nie było się jak schować na tych truskawkach...

– Ach, rzeczywiście... wyglądacie jak po wakacjach w tropikach. A na oparzenia najlepsze okłady ze zsiadłego mleka.

– Z młodych piersi – zarechotał Paweł i czulej przycisnął Marzenkę.

Na miejscu zajęli się rozbijaniem kolejnych namiotów, a dziewczyny przygotowaniem posiłku; umyły w jeziorze naczynia i niedługo na turystycznej butli zabulgotała fasolka w pomidorach.

– Zrobiłam taką, jak lubisz – Anka ćwierkała niezrażona milczeniem Sylwka.

– Dźwigała dzielnie te słoje całą drogę! – dorzuciła Ula.

Po obiedzie wybrali się nad jezioro i nurkowali po kolei, chcąc zobaczyć „cudo Pszczelarza”, ale łódź leżała zbyt głęboko, nie

dało się jej obejrzyć na żywca, bez sprzętu. Na pociechę Marzenka wyciągnęła z plecaka dmuchaną piłkę i urządzili w wodzie mecz siatkówki, przewracając się nawzajem, śmiejąc i chlapiąc. Przez chwilę było zwyczajnie i beztrzesko. Tak, jakby nic się nie wydarzyło, nie zmieniło, ale przecież owszem, zmieniło się... Za każdym razem, gdy Sylwek zerkał w stronę lasu, aż go kłuło w żołądka z podniecenia, i pierwszy raz miał treść przed spotkaniem. I ta ekscytacja z powodu nadchodzącego wieczoru, aż go świerzyły opuszki palców, wciąż siebie nie poznawał.

Jeszcze jedenaście godzin, jeszcze siedem... Już niedługo ją zobaczy, spotka dziewczynę, której imienia nawet nie znał, popychał w myślach wskazówki zegara, ukrywał zniecierpliwienie.

– Gdzie teraz jesteś?

– Co? – Podniósł głowę. – Słucham?

– Gdzie odpłynąłeś myślami, Sylwek? – Anka wycierała ręcznikiem włosy i przyglądała mu się uważnie. Reszta towarzystwa wybrała się po chrust, więc byli sami. – Pytam, bo na pewno nie ma cię ze mną.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Uśmiechnął się, ale ona nie odwzajemniła uśmiechu.

– Czyżby? – Anka przechyliła głowę. – Może powinnam chodź z tabliczką ze swoim imieniem, abyś mnie zaczął poznawać?

Zamrugał oczami.

– Obraziłeś się?

– Na ciebie? A za co?

– To ja się pytam. Sylwek, o co ci chodzi?!

– Co znowu?

– Już się znudziłeś, co? Nowa panienka na widoku?

– Anka, daj spokój. Co cię ugryzło?

– Co mnie ugryzło? Pomyślmy: nie widzieliśmy się jakieś trzy tygodnie, najpierw sesja, potem truskawki. Tłukę się przez pół Polski, by się z tobą zobaczyć, wpadam na dwa dni, na czterdzieści osiem godzin, bo przecież w niedzielę wyjeżdżam z zuchami, a ty nawet nie udajesz, że się cieszysz. – Cisnęła mokry ręcznik w jego stronę. – Zachowujesz się, jakbym była przezroczysta! Nic!

– Ej, Anka, daj spokój... – Próbował złapać ją za rękę, ale ją wyrwała.

– Po jaką cholerę tu przyjeżdżałam?!

– Przepraszam. – Podrapał się w głowę. Nawet zrobiło mu się przykro, bo naprawdę nie wiedział, co miałby jej sensownego powiedzieć. Że wczoraj, w środku nocy, w samym środku lasu spotkał dziewczynę, o której nie może zapomnieć? I że gdy tylko zamyka powieki, widzi jej oczy, uśmiech oraz piersi i elektryzuje go myśl, że znów ją zobaczy?

– Bardzo cię przepraszam...

– Nie zależy ci już?

Westchnął, przyciągnął naburmuszoną Ankę do siebie i pogłaskał po włosach, byleby tylko się nie rozpłakała.

– Chodź, pomożemy im nazbierać drewna do ognia.

A jednak nie dała się udobruchać. Przestała się do niego odzywać i przyjął to z ulgą, a potem namówiła Ulę, by tej nocy spały w jednym namiocie, co też mu pasowało. Schodził Ance z drogi i uciekał przed jej wzrokiem.

Jego brat, rozanielony obecnością Marzenki, nawet nie zauważył, że atmosfera między tą dwójką zgęstniała. Dopiero wieczorem Pszczelarz, po namowach Uli, odciągnął go na stronę.

- Nie chcę się mieszać, stary, ale wszystko gra?
- Ale że co? – Zjeżył się z miejsca.
- Między tobą i Anką?
- Coś ci nagadała, tak? – Przewrócił oczami.
- Nie, rozmawiała z Ulą. Podobno płacze przez ciebie.

Sylwek rozłożył ręce.

– A niech się maże, jak ma muchy w nosie. Może jak jej okres minie, to i humor wróci. Mam to gdzieś, głowa mnie boli.

Odwrócił się na pięcie, zostawił Janka i wślizgnął się do namiotu. Wreszcie święty spokój. Leżał i czekał. Czekał długo, bo wciąż ktoś się kręcił, ktoś czegoś szukał albo potrzebował, któraś z dziewczyn potknęła się o linki jego namiotu.

Liczył od trzystu do zera, od zera do trzystu, czas się włókł, a godziny dłużyły, sam nie wiedział, kiedy przysnął. Gdy się ocknął, na zewnątrz panowała cisza jak makiem zasiał, a zegarek pokazywał kwadrans po jedenastej, w sam raz. Bezszelestnie rozsunął suwak, włożył i zasznurował tenisówki i wymknął się na zewnątrz. Wbiegł na pagórek i za chwilę był w lesie, oświetlając sobie drogę latarką brata. Jutro odłoży ją na miejsce, pożyczył ją tylko na wyjście. Zbierał się nawet, by nicponiowi zdradzić, jaka mu się nocna schadzka szykuje i co niesamowitego wydarzyło się wczoraj, ale jakoś nie było okazji. Najpierw Pszczelarz się podniecał zgniłą łajbą, a zaraz potem wpadły dziewczyny...

Opowie mu następnym razem, jak wyjadą laski i nastanie spokój. A dziś w nocy poszwenda się po bunkrach z pewną leśną ślicznotką, poznają się bliżej, może i zdoła ją namówić na coś jeszcze....? Uśmiechnął się do siebie. A rano zabierze ją

nad jezioro, zapozna ze wszystkimi. Albo nie, przecież trzeba odczekać do niedzieli, aż wyjadą dziewczyny. Od przybytku głowa może jednak rozboleć, zachichotał pod nosem. Szedł rażno przed siebie, co rusz przyspieszając kroku, na drzewach migał niebieski szlak. W kieszeni miał kompas Pawła, ale bardzo by się zdziwił, gdyby go wyjął. Pewnie zauważyłby, że im dalej zagłębia się w las, tym szybciej obraca się igła busoli.

Teraz kręciła się już jak szalona.

A gdyby zerknął na zegarek, stwierdziłby ze zdziwieniem, że wskazówki zatrzymały się dokładnie na godzinie, o której wychodził z namiotu: kwadrans po dwudziestej trzeciej. Jednak nie było potrzeby sprawdzać czasu ani kierunku, szedł dobrze, tego był pewien. We właściwą stronę, do bunkrów. Lada chwila będzie rozwidlenie, którego wypatrywał, i zaraz się spotkają.



– Halo! Z trzech czy czterech jajek, śpiochu? – Janek rozsunał poły namiotu. – Gamoń już wstał! – krzyknął do reszty. – Polazł pewnie za potrzebą. Odłóżcie dla niego ze cztery, posiedzimy dziś trochę pod wodą.

– Jajek jest zapas, a w razie czego dokupi się od gospodarzy. – Paweł już czekał z menażką.

– Dobra, pierwsza tura gotowa. – Ulka z Marzenką mieszały w garnku, który robił za patelnię.

– Bierzcie pierwsi, ja zjem razem z Sylwkiem. – Janek zasunął namiot przyjaciela.

Na drugiej butli zagotował wrzątek, wrzucił garść świeżej mięty, taką lubił najbardziej, potem wyłożył się na trawie i rozłożył przed sobą mapę topograficzną.

– Dobra, dziś tniemy bardziej na zachód. I wyruszymy z tego miejsca. – Zaznaczył ołówkiem mały okrąg. – Zobaczymy, co odkryjemy.

Minął kwadrans, wypił napar z mięty. Minęła godzina, Sylwek nie wracał.

– Może chce nam zrobić niespodziankę i zaskoczy nas kurkami do jutrzejszej jajecznicy? – rzucił Janek.

– E, nie, to nie w jego stylu. Poza tym Sylwek się kompletnie nie zna na grzybach, jak się mocno wysili, to może pieczarkę od muchomora odróżni.

W południe Janek zjadł jajecznicę sam, potem wybrał się z dziewczynami umyć naczynia i sztućce.

– Coś jest nie tak – oświadczył Paweł, gdy wrócili znad jeziora. – Jak go nie było, tak nie ma, w dodatku zniknęły kompas i latarka.

– Jesteś pewien? Może gdzieś się zawieruszyły?

– Nie tym razem, stary. Gdy tylko Sylwek rzucił, że posiał kompas, poszedłem się upewnić, że mój wraz latarką jest w kieszeni plecaka.

Rozsunęli namiot Sylwka i nic szczególnego nie znaleźli. Plecak, portfel i dokumenty były na miejscu.

– Przyszło mi do głowy, że może wybrał się po nowy kompas do Giżycka, ale chyba by nam powiedział, no i pewnie zabrałby portfel i dokumenty ze sobą. Pomyślmy, czego tu nie ma, a być powinno...

– Rany, Pszczelarz, gadasz jakby... jakby coś się wydarzyło. – Anka zgromiła go wzrokiem.

– Jeszcze nic się nie wydarzyło, nie panikujmy, na pewno zaraz się zjawi – starał się ją uspokoić.

– A może to taki głupi kawał? – Ula wzruszyła ramionami.

– Jak kawał, to bardziej niż głupi. Jest trzynasta, gościa nie ma. Oczywiście, mógł się wybrać na jagody, ale chyba komuś by coś pisnął? – Janek się wyprostował.

– Głupek, przecież wiedział, że mamy od rana eksplorować dno. – Paweł nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Marzenka kurczowo ścisnęła jego ramię, jakby się obawiała, że i drugi bliźniak rychło zniknie.

– Co robimy?

– Cholera, Janek, nie mam pojęcia, co robimy. Przecież rozplątywanie się w powietrzu nie jest w jego stylu.

– Dobra, pomyślmy... Jakby poszedł pływać, to jego kąpielówki tu by się nie suszyły, zresztą i tak miał pływać dziś z nami pod korek. I dziś, i jutro... Nie wybrał się do sklepu ani raczej nigdzie dalej, bo zostawił i portfel, i dokumenty... Słuchaj, Paweł, czy wydarzyło się coś szczególnego, jak poszłiscie szukać nocą tego kwiatu paproci?

– Czego szukać?! – zdumiała się Anka.

– Pokłóciliście się może czy jak?

– Jakiego kwiatu paproci? – nie odpuszczała Anka.

– Takie zarty. – Paweł zgasił ją wzrokiem. – Nie, nic się szczególnego nie wydarzyło. Sylwek podprowadził mnie zresztą niemal do namiotu, a sam zawrócił, bo się uparł, by nocą oglądać bunkry. A znasz go, jak sobie coś ubzdura, to nie ma mocnych. No i poszedł sam, ale przecież wrócił...

– Fakt, wrócił. A może przejdźmy się do tych bunkrów?

- Po co chcesz tam teraz łazić, Janek? Co nam to da?
 - Nie wiem, tak mi te bunkry przyszły do głowy.
 - To co robimy? – nacierała Anka.
 - Spokojnie na niego czekamy – zdecydował Janek. – To chyba najsensowniejsze, co teraz możemy zrobić. Pójdę się ochłodzić.
- Ktoś idzie ze mną popływać?

Anka cmoknęła zniesmaczona i westchnęła zniecierpliwiona:

- Też mają głowę do głupot.
- Ja – zaoferowała się Ula.

ROZDZIAŁ 2

Melancholia Mutti

Prusy Wschodnie, okolice Kreis Rastenburg, 1943*

W dniu, w którym Maruszka ostatecznie postanowiła, że wybierze się do Cyganki, o której tyle opowiadały sobie dziewczyny, znalazła się Mutti. Ale nim się znalazła, wszyscy się ucieszyli: ona, Bastian i tatko, że wreszcie podniosła się z łóżka i może będzie jak dawniej. Mutti przestanie płakać, leżeć i patrzeć w sufit, bo od tego patrzenia w sufit gasła z dnia na dzień, schła i szarzała, zapadała się w sobie. Od patrzenia w sufit Mutti oduczyła się jeść i w ogóle otwierać usta, mówić i chodzić do ustępu, odwracała nawet głowę od małej Ingrid, którą Maruszka zabrała z kołyski do siebie. Mała zaczęła spokojnie przesypiać nocę.

Przecież nikt tak się w kółko nie wylegiwał. Nie tkwił w pościeli całe dnie i noce, a mimo upływających tygodni nie miał siły się podnieść jak ich Mutti. Mutti, która tuż za ścianą, a jednak w zupełnie osobnym świecie, tkwiła w małżeńskim łóżku milcząca i nieobecna, jakby wcale jej tam w środku nie było. Jakby

* Rastenburg (niem.) /Rastembork – dawne nazwy Kętrzyna.

pod pościelą z haftem wyblakłych kwiatków leżała jej powłoka niczym zeszłoroczna wylinka jaszczurki. Z początku płakała, że na nic nie starcza jej sił, a oni bezradnie patrzyli i kręcili głowami, bo robota czekała i każde ręce były potrzebne. Jak to możliwe, że komuś zabrakło sił, skoro tygodniami leżał i gapił się w sufit? Toć to z nudów człowiek by się dźwignął i zajął ręce czymś sensownym. Gniew tylko wzbierał na tę jej głupią niemoc, na to nicnierobienie, a zaraz potem przychodziła bezradność i opadały ręce. „Wstań wreszcie, Helga – zaklinał ją tatko – podnieś się w końcu, mała cię potrzebuje, ile jeszcze zamierzasz tak gnić?” Prosił, czasem tracił cierpliwość i podnosił głos, ale czy szeptał, czy krzyczał, ona go nie słyszała, nie odrywała wzroku od sufitu, jakby bielone deski nad głową nie przestawały jej hipnotyzować, przyzywać do siebie.

Nie wiedzieli, co mówić ludziom i jak to sobie tłumaczyć, nikt przecież tak się nie zachowywał. Pomieszało jej się w głowie, powiedział im pastor. Jak można uleczyć głowę? Starym Heinzom kiedyś urodził się dzieciak, co miał problem z głową, i mówili, że to przez wiek Heinzowej, przez to, że na stare lata brzucha jej się zachciało, ale natury okpić się nie da. A jednak nikt starych Heinzów o niego nie rozpytywał, nikt im nie zawracał tym głowy, bo każdy widział, że cofnięty. Ale mimo że z rozdziawioną buzią od małego biegał, jakby nie mógł nadziwić się światu, a i bywało, że z wiadrem wciśniętym na głowę, to kozy i krowy sąsiadów paśł wzorowo i nawet je doił porządnie, więc jakiś pożytek był, a nie jak tutaj – kiedy zdrowa, choć chora. Bo na co chora? Ludzie łapali grypę albo bronchit, skręcali kostki albo łamali ręce, ale nikt się tak nie lenił tygodniami, aż brała

złość. Gdy jednak Mutti zaczęła się załatwiać pod siebie, tatko przeniósł się ze spaniem do tartaku, a wcześniej wałnął pięścią w ścianę tak, że wyflukł obok framugi dziurę.

Po raz drugi posłał po doktora Posnera, ale doktor i tym razem odłożył stetoskop, a potem wzruszył ramionami. Zapiął paski na podłużnym kuferku z licowej skóry i zerknął na zegarek, jakby diagnozy stawiał o oznaczonych godzinach, po czym orzekł, że nic tu po nim. Naprawdę nic więcej zrobić nie zdoła, bo serce i organy wewnętrzne, tętno i ciśnienie u Helgi Klein działały wzorowo. Wszystko sprawne i bez zarzutu, poza brakiem ochoty do życia.

– To choroba duszy, tak to czasem bywa – oznajmił takim tonem, jakby zapewniał, że po każdej nocy należy spodziewać się świtu, a Martin Klein zamrugał oczami.

– No i co z tym dalej? – dociekał. – Tak będzie leżeć w nieskończoność?

Doktor Posner zsunął okulary na czubek wąskiego nosa i westchnął, spojrzał na mężczyznę, który czekał na niezawodną instrukcję. Patrzył na człowieka o barkach rozpiętości szafy, zaciskającym dłonie na poręczy łóżka, dłonie, którymi mógłby oheblować każdą deskę tego domu i którymi zmiotłby wszystkie napotkane przeszkody, dłonie nienawykłe do bezradności.

Tak na przykład mógłby mu doktor powiedzieć: że owszem, widywał podobne przypadki, jak ten tutaj Helgi Klein, i to całe ich mnóstwo. Ot, choćby po wielkiej wojnie, gdy zwozili dziesiątkami rannych, przywozili nieszczęśników z obłędem w oczach do zakładu Wormditt dla epileptyków, gdzie odbywał staż, albo do szpitala w Królewcu, gdzie znalazł etat. Wtedy się

dowiedział, że gdy mijał ten zwierzęcy strach, którym byli prześląknięci, wcale nie przychodziła ulga. Jeden po drugim zapadali w podobną apatię jak ta tutaj i tak w niej stygli latami.

Ale Helga Klein nie była przecież na wielkiej wojnie.

A on nie chciał mężczyźnie stojącym przed nim odbierać nadziei.

Ostatecznie Helgi Klein nie zwieźli z okopów, dostała apatii we własnym domu, przy oddanym mężu, i tego doktor Posner nie potrafił zrozumieć ani tym bardziej wytłumaczyć.

– Naprawdę niezmiernie mi przykro, Herr Klein, ale to nie jest moja dziedzina i dużo nie pomogę, ja się na głowach nie znam.

– To kto się zna na głowach? – Tatko zaczynał tracić cierpliwość, bo przecież doktor był po to, aby leczyć ludzi, a nie ich dzielić na głowę i resztę.

– Są lekarze, którzy zajmują się właśnie psychiką, bo to jest osobna specjalizacja, inna gałąź medycyny. Widzi pan, Herr Klein – tłumaczył łagodnie – człowiek składa się z psyche, czyli duszy, i somy, czyli ciała, i ja się znam wyłącznie na chorobach ciała. Pan z łatwością oceni jakość drewna czy jego zdatność do dalszej obróbki, ale mimo że doskonale zna się pan na drewnie, to pewnie chcąc zbić, dajmy na to, kuter, potrzebowałby pan kwalifikacji szkutnika, bo to jest jednak inna specjalność, i w medycynie jest podobnie.

Tatko chwilę trawił jego słowa.

– To co doktor radzi?

– Czytałem, że w podobnych przypadkach zaleca się hipnozę lub radykalną zmianę klimatu, pomaga na przykład pobyt w górskim uzdrowisku.

– W górskim uzdrowisku? Za co? – Klein poszarzał, a doktor pokiwał głową z troską.

– Proszę wyprowadzać żonę na zewnątrz, niech oddycha świeżym powietrzem i korzysta ze słońca, słońce to życie, no i karmić ją trzeba małymi porcjami, by całkiem nie opadła z sił, i poić mieszanką z ziół, może wróci do siebie – poradził w końcu, ale jakoś niepewnie.

– Może wróci – powtórzył tatko również bez przekonania.

Doktor wysunął pióro z kieszeni i na wyrwanej z notesu karteczce napisał nazwę apteki na rynku, choć była tylko jedna w mieście.

– Proszę. Mają tam gotowy skład: waleriana, melisa, lawenda, chmiel i kozieradka, wszystko we właściwych proporcjach. Powie się, że napar na nerwy, i będą wiedzieć, kosztuje grosze. Powietrze, słońce, zioła i może się poprawi, choć gwarancji nie ma, wiadomo. Organizm ludzki to złożona maszyna. – Doktor Posner spojrzął ostatni raz na Mutti, ale ona uparcie patrzyła w sufit.

– A jak się nie poprawi? – nie odpuszczał tatko.

– To może pastor co mądrego doradzi. – Rozłożył ręce, a potem uściśnął mu dłoń, bo spieszył do chorych, którzy dawali się wyleczyć maścią i syropem.



Toteż w tamtą niedzielę najpierw się ucieszyli, poderwani nagłą nadzieją, bo gdy wrócili z mszy, łóżko pod oknem zastali puste. Puste, bez Mutti, za to porządnie zasłane. Równiutko

wygładzona kołdra w sprane bławatki, u wezgłowia ułożona poduszka i wyszywany jasiek, na co z obrazka z aprobatą patrzył Pan Jezus siedzący z uczniami w łodzi. Mutti zaś nigdzie nie było, może wyszła do kur albo do sąsiadów? Albo czegoś jej w domu zabrakło, na przykład cukru?

To Bastian na nich krzyknął, przywołał ich nieswoim, skrzekliwym głosem, który potem długo wracał do Maruszki w niespokojnych snach.

Ruszyli za nim odświętnie ubrani, jak to w niedzielę. Maruszka w krochmalonej na sztywno sukience z małą Ingrid w koronkowym czepeczku, tatko i Bastian w ciemnych marynarkach i koszulach z odprasowanymi „na sztywno” kołnierzykami, w kapeluszach na głowach. I zaraz te kapelusze zdjęli albo same im pospadały, zresztą może wcale tych kapeluszy nie mieli, Maruszka nie mogła sobie tego przypomnieć. Za to zapamiętała bardzo dużo dziwnych rzeczy z tamtej chwili, która zdawała się nie mieć końca. Ochrypli skrzek Bastiana poderwał ich z miejsca i wbiegli za nim do stodoły za domem, skąd wołał cudzym głosem jej starszy brat, i wtedy po raz pierwszy poczuła, jak uginają się pod nią nogi.

Przed nimi na sznurze do prania przewieszonym przez belkę wisiała najspokojniej w świecie ich Mutti. Zastygła w powietrzu w miodowej poświacie słońca, w nocnej koszuli ze spuszczoną głową, jakby zdecydowała się ostatecznie poddać, a jej jasne, długie i rozczochrane włosy zakrywały twarz. Po sinych stopach o długich nieobcinanych od dawna paznokciach dreptały muchy, a poniżej kręciły się kury. Maruszka zapamiętała też, że prędko zasłoniła usta, by zatrzymać rosnący w niej krzyk, i zaraz

tą dłonią zakryła pulchną twarzyczkę Ingrid, by mała na to nie patrzyła, nie chciała, by zapamiętała obraz Mutti tak, jak oni zachowali go już na zawsze.

Wydawało jej się też, że przez chwilę ujrzała ich wszystkich, jakby ją naraz ustawiono z boku jako postronnego widza. Pod ścianą stodoły miała ocenić zaaranżowaną scenę, dekorację z rekwizytami, jak na przykład w Kościele Świętej Katarzyny, gdzie Grób Pański wyglądał tak, jakby przed chwilą odsunięto ciężki gład u wejścia jamy, do której zaglądały paprocie z materiału i żonkile z barwionej tektury. Żonkile musiały być zawsze, bo Pan Jezus zmartwychwstał na Wielkanoc. Widziała, jak Psołka zatrzymała się nieruchomo w drzwiach i jak ona, Maruszka, z zadartą głową i rozszerzonymi z niedowierzania oczami przyciska do piersi małą Ingrid. Obok stał Bastian przytrzymujący ją za przedramię. Tatko tuż za nimi chrapliwie łapał powietrze haustami niczym ryba wyciągnięta na brzeg. Może tatce też się przez chwilę zdawało, że to sztuczne przedstawienie? Maruszka stała więc z boku i przyglądała się im skamieniałym, niczym w dziecinnej grze o starej wiedźmie, w której nie wolno się było poruszyć, a nawet kiwnąć palcem, gdy odwracała się od ściany.

Patrzyła na zmierzwione włosy Mutti i myślała, że trzeba je będzie delikatnie rozczesywać, pasmo po paśmie, zaczynając od końcówek u dołu, i najlepiej grzebieniem rogowym, tym z szerokimi zębami, bo... I wtem poderwał ich głos kukułki, jej rytmiczny śpiew, musiała być gdzieś niedaleko... Ocknęli się.

– Boże Przenajświętszy! – Tatko wreszcie złapał oddech, otarł pięściami oczy. Załkał chropawym głosem z najgłębszych trzewi: – Coś ty zrobiła?! Coś ty, Helga, najlepszego narobiła?